

Monika Sokół

Rubin

Dwóch mężczyzn jechało drogą wijącą się pomiędzy skałami. Różnica w jakości ich zbroi, mieczy i koni jasno wskazywała, który z nich jest panem, a który sługą.

- Panie? – Młody mężczyzna nieśmiało zwrócił się do zamyszonego rycerza jadącego przed nim.

- Czego chcesz, Bertramie?

- Wybacz, panie, że przerywam ci twoje rozważania, ale wciąż zastanawiam się, dlaczego zostawiłeś swoich ludzi z darami i pana de Brec w miasteczku, a do zamku jedziemy tylko we dwóch?

- Ech, Bertramie... – Rycerz z niezadowoleniem pokręcił głową. – Jesteś moim giermkim ponad trzy lata, a wygląda na to, że niczego się przez ten czas nie nauczyłeś.

- Przepraszam, panie.

- Ile razy powtarzałem ci, że zawsze trzeba mieć przygotowaną drogę ucieczki?

- Nie podejrzewałem, że dotyczy to także swatów – mruknął z przekąsem Bertram.

- Nie znasz tego powiedzenia, że w miłości jest jak na wojnie? A na wojnie ta taktyka akurat dobrze się sprawdzała. Zwłaszcza w Jerozolimie. Gdybym nie miał wystarczająco wiele złota i silnego poparcia, teraz gniłbym w lochu, a tak wielki mistrz kazał mi tylko wynosić się i więcej nie wracać. Ten głupiec pozbył się najlepszego rycerza Ziemi Świętej tylko dlatego, że złupiłem kilka karawan i potarosiłem kilku bogatych pogan.

Giermek nic nie odpowiedział. Doskonale pamiętał okrucieństwo, z jakim jego pan traktował pojmanych jeńców, rozczłonkowane zwłoki kupców

walające się dookoła spalonych wozów, krzyki gwałconych niewiast. Nie było w tym nic z cnót rycerskich, o jakich słyszał z ust minstrela na dworze ojca, ani ze świętej misji, o jakiej grzmieli księża w kościołach. Owszem, wielki mistrz nakazał wsadzić ich na statek do Neapolu, ale miał ku temu swoje powody – rycerz Enguerrand de Colonges swoimi samowolnymi atakami naruszał postanowienia traktatu, który z takim trudem udało się podpisać z Saracenami. W duchu Bertram cieszył się z takiego obrotu sprawy, bo wreszcie mógł wrócić do ojczyzny. Ojciec wysłał go, niemal jeszcze chłopca, z posiłkami dla swojego seniora, a że Enguerrand akurat stracił giermka, więc Bertram zajął jego miejsce. Jerozolima zrobiła z niego mężczyznę, ale miał serdecznie dosyć słońca, piasku i wszechobecnego kurzu pustyni.

Głos pana wyrwał go ze wspomnień.

- Orszakowi kazałem zaczekać, bo najpierw sam muszę ocenić sytuację. Gdyby panna okazała się nie tak piękna, jak o niej mówią, będę miał jeszcze szansę wycofać się bez zbytecznej awantury.

- A jeśli ojciec panny się nie zgodzi? Słyszałem, że wielu rycerzy odprawił z niczym.

- Zapomniałeś, mój dobry Bertramie, że mnie się nie odmawia?

O, tak. Nikt, kto odmówił rycerzowi Enguerrandowi, nie wyszedł na tym dobrze.

Rozmowę przerwał im widok zamku wyłaniającego się zza zakrętu. Kamienne mury niewielkiej warowni wtapiały się w otaczające ją skały, tworząc z nimi niemal jedną całość.

Enguerrand ocenił obwarowania okiem fachowca.

- Góra trzy dni – stwierdził. Nie musiał dodawać nic więcej; i bez tego Bertram wiedział, że jego pan daje sobie tyle czasu na zdobycie zamku, gdyby coś poszło nie po jego myśli.

Bez przeszkód wjechali na dziedziniec zamku.

Stary Filip musi czuć się w swojej siedzibie bardzo bezpiecznie, skoro trzyma bramy otwarte – pomyślał rycerz, odruchowo licząc zbrojnych w zasięgu wzroku. Mruknął do giermka:

- Zaczynaj.

Bertram zadał w róg, co zwykł czynić przed bramami, ale skoro brama była otwarta...

- Rycerz Enguerrand, pan na Colonges, pragnie złożyć wyrazy szacunku Filipowi, panu tego zamku.

Ludzie krzątający się w zabudowaniach gospodarczych i straże na murach popatrzyli zdziwieni na dwóch zbrojnych, którzy tak oficjalnie oznajmiali swoje przybycie. Rzadko kto bawił się tutaj w takie ceregiele. Oczywiście było przecież, że już dawno zostali zauważeni.

- Co za dziura – westchnął w duchu Enguerrand. Po chwili w drzwiach stołpu pojawił się mężczyzna lat około pięćdziesięciu, ubrany w prostą sukienną tunikę, pośpiesznie dopinający na sporym brzuchu rycerski pas.

- To zaszczyt dla mnie gościć słynnego pogromcę Saracenów. - Rozłożył ręce w powitalnym geście. – Świetność twoich czynów, panie, dotarła nawet do mojego domu, chociaż leży z dala od uczęszczanych szlaków. Zapraszam do środka.

Zaprowadził Enguerranda do głównej sali, gdzie kobiety właśnie zastawiały stół misami z zimnym mięsiwem, świeżym chlebem i dzbanami z cienkim winem.

- Posił się najpierw, panie Enguerrandzie, a potem z przyjemnością posłucham, z czym do mnie przybywasz.

Jedząc rozmawiali o łowach, Jerozolimie, pustyni, a gdy nasycili głód, gospodarz spytał:

- Czemu zawdzięczam twoją wizytę, panie?

- Od jakiegoś czasu podróżuję po naszej słodkiej Francji z polecenia miłościwie nam panującego, by wy badać, jakie nastroje panują wśród

szlachetnie urodzonych w związku z Ziemią Świętą. – Enguerrand zbytnio nie rozminął się z prawdą, gdyż rzeczywiście król nakazał mu mieć oczy i uszy szeroko otwarte.

- Czyżby nasz pan szykował kolejną wyprawę? – Filip starał się nie pokazać po sobie zaniepokojenia. Nie miał synów, a jego bracia nie żyli, gdyby więc król nakazał mu ruszyć na wojnę lub do Jerozolimy, jego dobra zostałyby bez opieki. Była co prawda Izabela, ale nie łudził się, że obroniłaby zamek przed najazdem pazernych sąsiadów. Uznał zatem, że musi jakoś oblaskawić tego zabijakę, Enguerranda. - Dzisiejszego wieczora odbędzie się uczta z okazji twojej wizyty, panie. Mam nadzieję, że zechcesz uraczyć nas opowieściami o swoich przygodach.

- Z przyjemnością. Czy mieszkasz sam, panie Filipie? – spytał niespodziewanie rycerz.

- Nie, mieszka ze mną również córka. Niestety, żona zmarła przed laty, nie dając mi więcej dzieci. - Filip był pewien, że Enguerrand jest doskonale zorientowany w jego sytuacji rodzinnej.

- Dobrze by więc było, gdyby twoja córka, panie, również wzięła udział w uczcie. Chciałbym poznać kobietę, o której urodzie krążą legendy.

Tu cię mam, łajdaku! – zaklął w myślach Filip. – To o Izabelę tak naprawdę ci chodzi.

Musiał natychmiast porozmawiać z córką.

- Wybacz, panie, ale wzywają mnie obowiązki. Dzisiaj jest dzień sądów w pobliskiej wiosce.

- Nie zatrzymuję cię więc, panie. – Enguerrand łaskawie skinął głową na pożegnanie. Zauważył, że Filip nie jest głupcem i wszystkie niedomówienia zrozumiał prawidłowo. To tylko ułatwiało sprawę.

- Gdzie moja córka?! – Filip wrzeszczał na starszego wioski. Izabela kilka razy w tygodniu brała koszt jedzenia i jak twierdziła, szła pomóc najuboższym

rodzinom. Nigdy nie wątpił w jej słowa, ale teraz okazało się, że w wiosce jej nie ma i dzisiaj nie było.

- Nie wiem, panie. – Chłop opuścił wzrok, żeby nie można było wyczytać z jego oczu kłamstwa. Podejrzewał, gdzie może przebywać Piękna Izabela, jak nazywali ją poddani jej ojca, ale tej informacji nie wyciągnęliby od niego nawet na torturach. Był odpowiedzialny za mieszkańców wioski, a dzięki ofierze córki Filipa ludzie wreszcie mogli nie bać się nocy i spać spokojnie. W duchu pobłogosławił dziewczynę. Zdecydował się zyskać dla niej trochę czasu. – Może jest u bartników albo u smolarzy na Przecince? Czasami tam zachodzi.

Przy odrobinie szczęścia mogła już być w którymś z tych miejsc, gdy zjawi się ojciec.

Pan Filip bez słowa wyszedł z chaty, dosiadł konia i skinąwszy na swoich ludzi, galopem ruszył w stronę lasu.

- Gaston! – zawołał starszy wioski. Po chwili do chaty wpadł kilkunastoletni wyrostek. – Biegnij do smolarzy i powiedz, że pan szuka panny Izabeli. Śpiesz się!

- Co o tym myślisz? – spytał Enguerrand giermka. Stali na murach zameczku i podziwiali okolicę.

- Przytulne gniazdko – stwierdził Bertram.

- Czego dowiedziałeś się w kuchni?

- Ludziom żyje się tu dostatnio, bo pan Filip nie ciśnie ich podatkami. Uważają go za dobrego pana. Za to o pannie Izabeli mówią, że jest dziwna.

- Dziwna? - zainteresował się rycerz.

- Jakby nie do końca zdrowa na umyśle. Wygląda ponoć, jakby cały czas myślami była gdzie indziej. Ma jednak dobre serce, bo niemal codziennie odwiedza najbiedniejsze rodziny w okolicy z koszykiem pełnym jedzenia.

- Najbiedniejsze rodziny, powiadasz...

Pan Filip wpadł do chaty smolarzy. Ku swej uldze zastał córkę siedzącą na stołku pośrodku izby i trzymającą na kolanach najmłodsze dziecko gospodarzy. Zaskoczona podniosła wzrok na ojca.

- Witaj, ojczu. Co cię tu sprowadza? – spytała, oddając roześmiane dziecko matce.

- Muszę z tobą koniecznie porozmawiać. – Z jego głosu znikła uprzednia złość. **Miał** wielką słabość do swojego jedyne dziecko, ale gdy nie znalazłszy jej we wsi, pomyślał, że dziewczyna oszukuje go i pod przykrywką dobroczynności odwiedza kochankę, krew się w nim zagotowała. Teraz jednak sam siebie łajał za nadmierną podejrzliwość.

Nie zwlekając ruszyli w stronę zamku. Izabela i pan Filip szli, prowadząc jego konia, natomiast trzej zbrojni ze straży zamkowej jechali za nimi w takiej odległości, by nie słyszeć, o czym ich pan rozmawia z córką.

- Odwiedził nas dzisiaj gość, Izabelo – zaczął. – Bardzo specjalny gość.

- Kto?

- Enguerrand de Colonges.

- Ten rzeźnik, który ani chwili nie może spokojnie usiedzieć na zadku? – Dziewczyna pogardliwie wydeła różowe usteczka.

- Ten sam.

Co prawda minstrele śpiewali o nim jako o człowieku wielkiej odwagi i niezrównanego męstwa, który wziął udział w niezliczonych bitwach, zabijając swoich wrogów dziesiątkami, ale Izabela bezbłędnie potrafiła oddzielić prawdę od fikcji i pięknych słówek. Rozpoznała w bohaterze pieśni awanturnika lubiącego przelewać krew.

- I po co on tu przyjechał?

- Obawiam się, że to właśnie ty jesteś celem wizyty.

Izabela zasepiła się.

- Nie chcę go za męża – oświadczyła. – Ale to niebezpieczny człowiek. Inny niż ta cała reszta, z którą mieliśmy do czynienia wcześniej.

Niejeden rycerz czy nawet możny odwiedzał pana Filipa ze swatami, ale żaden nie spodobał się Pięknej Izabeli, co wcale nie martwiło jej ojca, który cieszył się, że dłużej będzie miał córkę dla siebie. Grożono, proszono, próbowano przekupić kapryśną pannę i jej ojca, ale niczego tym nie zyskano. Tym razem jednak sprawa przedstawiała się gorzej, bo Enguerrand miał renomę doskonałego wojownika i gwałtownika, który bez wahania sięga po to, czego pragnie.

- Czy wspominał już coś na temat ślubu? – spytała Izabela.

- Nie, ale zażądał twojej obecności na wieczornej uczcie.

- Trudno – westchnęła dziewczyna. – Poczekamy i zobaczymy, jak się sprawy potoczą, a na razie, jak zwykle, będę grać rolę nieco ociążałej umysłowo.

Na uczcie podano, co najlepszego było w spiżarni. Enguerrand jednak nie bardzo zwracał uwagę na to, co je, nie mogąc oderwać wzroku od dziewczyny. Należała do tego typu kobiet, których uroda daje natchnienie poetom. Miała jasną i gładką skórę, złote włosy falą opadające do pasa, różowe wargi, które kryły zdrowe, białe zęby. Była smukła, niezbyt wysoka i niezbyt niska – w sam raz. Jej długie palce odrywały od pieczeni kawałki mięsa i z wdziękiem niosły do ust. Za to wyraz jej błękitnych oczu niszczył całą harmonię wyglądu. Wzrok miała pusty, nieobecny, jakby przy stole siedziała sama skorupa, natomiast dusza przebywała gdzieś w bardzo odległych miejscach.

Enguerrand próbował przełamać jej obojętność, snując opowieści o swoich przygodach w Ziemi Świętej – o polowaniu na lwy, o dzikich i okrutnych Saracenach, o zamaskowanych zabójcach, którzy bezszelestnie przychodzili w nocy, by zabić, a potem znikali bez śladu, o potworach, jakie można było spotkać na pustyni, gdy odeszło się zbyt daleko od uczęszczanych szlaków. Izabela jednak nie dawała po sobie poznać, czy w ogóle słucha jego

wywodów. Rycerz był dla niej jak powietrze i gdy nawet zdarzyło jej się spojrzeć w jego stronę, patrzyła nie na niego, ale przez niego, jak gdyby nie istniał.

Szybko odeszła do swoich komnat.

Późnym wieczorem, gdy Bertram pomagał mu zdjąć uroczyste szaty, Enguerrand wciąż nie wiedział, co myśleć o Izabeli. Bez wątplenia była piękna, ale czy w pełni zdrowa na umyśle? Nie chciał mieć w domu szalonej żony. Potrzebował kogoś, kto będzie potrafił dobrze zarządzać jego ziemiami, a podczas jego nieobecności bronić zamku przed wrogami. Ale także kobiety, która swoją urodą przyćmiewałaby wszystkie inne i która dałaby mu zdrowe i silne dzieci.

Nie przywykł też do braku reakcji kobiet w stosunku do jego osoby. Sława, która go otaczała, nie była jego jedynym atutem w kontaktach z niewiastami. Zdawał sobie sprawę, że jego wygląd jest przyjemny dla oka – był wysoki, harmonijnie zbudowany, o muskularnych ramionach i szerokich barach, stanowił cel dla wielu dam. I chociaż nie miał modnie utrefionych w loki blond włosów, tylko wciąż krótko je przycinał, jak miał to w zwyczaju robić na pustyni, to dwórki królowej, jego dalekiej krewnej, lgnęły do niego jak pszczoły do miodu. Nie odstraszały ich zimne, niebieskie oczy dawnego krzyżowca ani brak wykwintnych manier.

- Zostajemy tu kilka dni – zakomunikował Bertramowi. – Muszę rozeznąć się w sytuacji. Ty też dowiedz się, ile tylko będziesz mógł.

- Tak, panie. Mam dzisiaj schadzkę z jedną z dziewczek kuchennych. Może od niej czegoś się dowiem.

- W takim razie idź już i nie pokazuj mi się rano bez informacji.

Giermek uklonił się i wyszedł z komnaty.

Enguerrand siedział w milczeniu, wpatrując się w ogień płonący na kominku. Izabela zapadła mu w serce. Wciąż miał przed oczami jej śliczną

twarz, ale obojętność spojrzenia dziewczyny budziła w nim gniew. Pragnął jej. Najbardziej jednak chciał, by go dostrzegła. Chciał zobaczyć w jej oczach błysk pożądania lub strachu.

Kładł się do łóżka rozdarty pomiędzy chęcią natychmiastowego wtargnięcia do jej komnat i wzięcia jej siłą a rozsądkiem, który podpowiadał mu, że żony nie powinno się brać w ten sposób. Przynajmniej nie przed ślubem i nie w zamku jej ojca, mając tylko jednego człowieka do pomocy.

Usnął nad ranem.

Bertram obudził go, gdy słońce stało już wysoko. Czerwone z niewyspania oczy i ostentacyjne ziewanie świadczyły, że bardzo sumiennie podszedł do wyznaczonego mu zadania.

- No i? – Niecierpliwiał się rycerz, gdy giermek pomagał mu założyć tunikę.

- Wszyscy zgodnie i z wielkim przekonaniem twierdzą, że panna jest trochę... nie tego...

- Do diabła! – zaklął pod nosem Enguerrand.

- Jednak te zapewnienia wydały mi się zbyt żarliwe, zwłaszcza że popierane były porozumiewawczymi spojrzeniami, jakie wymieniały pomiędzy sobą służące, gdy wydawało im się, że nie patrzą.

- A co powiedziała ci w nocy dziewczka?

- Wolałem nie budzić jej podejrzliwości i zapytałem tylko, czy często widuje panienkę, na co ona odparła, że zazwyczaj rankiem, gdy przychodzi do kuchni po koszyk dla biednych. Zaczaiłem się więc pod oknem, gdy tylko wzeszło słońce.

- I?

- I przysłała. Ale daleko jej było do kogoś ociążałego na umyśle. Weszła do kuchni...

Izabela weszła do kuchni, zawiązując na głowie chustkę. Ubrana była w zwykłą brązową sukienkę, jakie nosiła większość służących na zamku. Na pierwszy rzut oka nie można było odróżnić jej od kobiet krzątających się po kuchni.

- Mario, koszyk gotowy? – spytała najstarszej kucharki.

- A jakże, panienko.

- Margot – zwróciła się do ochmistrzyni. – Dzisiaj jest post, więc resztki mięsa z wczorajszej uczyty zamknij w komorze. Na obiad ma być piwna polewka, chleb i biały ser. Żadnego wina, tylko woda i rozcieńczone mleko.

Izabela odkroiła sobie pajdę chleba.

- Panienko, weź sobie trochę dziczyzny – poradziła kucharka. – Post postem, ale ty musisz dobrze się odżywiać.

- Masz rację. Dajcie mi tego dobrego sera od młynarzowej.

Podkuchenna szybko skoczyła do komórki na nabiał i zaraz była z powrotem z krążkiem smakowitego sera. Izabela odkroiła sobie kawałek, a cenny ser ponownie zniknął za drzwiami spiżarni.

- Powinnaś jeść więcej mięsa – pouczyła ją ochmistrzyni. – Błada jesteś, a to zły znak.

- Nic mi nie jest, nie marudź – ucięła dziewczyna. – Działo się coś ciekawego?

- Ten chłystek od rycerza wypytywał o ciebie.

- I?

- Gadałyśmy to co zawsze. Chyba uwierzył, bo gdy poszedł z Jeanette, to o nic już nie pytał.

Kobiety w kuchni roześmiały się znacząco. Tylko młoda podkuchenna splonęła rumieńcem.

- Przepraszam, Jeanette, że przypadła ci taka rola. Mam tylko nadzieję, że nie było nieprzyjemnie, bo w końcu przystojny z niego chłopak...

- E, panienko. – Dziewczyna machnęła ręką. – Ja tam nie narzekam.

Zawtórował jej kolejny wybuch śmiechu.

- Nie pytał o mnie? – upewniała się Izabela.

- Tylko czy panienkę widuję.

- I co mu odpowiedziałas?

- Że wtedy, gdy panienka przychodzi po koszyk.

- Hmm... Dziwne – podsumowała Izabela. – Musicie na nich uważać. Na obydwu. Enguerrand to szuja, która nie cofnie się przed niczym, a jego giermek może być bardziej przebiegły, niż na to wygląda.

- Chodzi ci o coś konkretnego? – zaniepokoiła się ochmistrzyni.

- Jeszcze nie, ale mam złe przeczucia. Obawiam się, że tym razem nie pójdzie tak łatwo. A teraz dajcie mi koszyk, bo już jestem spóźniona.

- A więc to tylko gra – mruknął zamyślony Enguerrand. – Próbują mnie zniechęcić.

- Na to wygląda, panie – zgodził się Bertram.

Rycerz zerwał się ze stołka, na którym usiadł, gdy giermek zakładał mu buty.

- Muszę wiedzieć, dokąd chodzi z tym koszykiem. Założę się, że nie do żadnych biedaków, a do kochanka.

Szybkim krokiem przemierzał komnatę tam i z powrotem. Bertram za każdym razem, widząc go w takim stanie, miał wrażenie, że patrzy nie na człowieka, a na lamparta w klatce. Widział te wielkie koty w Jerozolimie, gdy wieziono je w klatkach jako prezent dla króla Baldwina. I lamparty, i jego pan miały podobne spojrzenie – dzikie i pałające żądzą mordy.

Oj, będą kłopoty – pomyślał giermek.

- Dawno wyszła? – spytał rycerz.

- Dawno. O świcie.

- Jutro obudź mnie przed świtem.

- Tak, panie.

- A teraz zakładaj kolczugę, bierz miecz i tarczę i czekaj na mnie na dziedzińcu.

Bertram westchnął w duchu – wiedział, że tak się to skończy. Rycerz Enguerrand musiał na kimś wyładować swoją złość.

Matko najświętsza! – pomyślał Filip, patrząc z okna swojej komnaty na to, co działo się na dziedzińcu. Enguerrand, ubrany tylko w tunikę, atakował pełnozbrojnego giermka. Miotał nim po całym dziedzińcu i gdyby tylko chłopak miał mniejsze doświadczenie, źle by się to dla niego skończyło.

Filip nie miał wątpliwości, że ten pokaz siły przeznaczony był dla niego. Zdawał sobie sprawę, że w zamku nie było nikogo, kto dotrzymałby pola Enguerrandowi de Colonges. Prawdopodobnie nawet jego młody giermek rozniósłby w pojedynku każdego z jego ludzi.

Zaiste, niebezpieczny człowiek z tego de Colonges – pomyślał, a serce ścisnął mu strach, że tym razem będzie musiał oddać swoją piękną córkę. Żałował teraz, że tak długo jej ulegał i wcześniej nie znalazł dla niej odpowiedniego męża, który by ją szanował i dbał o nią. Teraz ten rzeźnik, jak go sama nazywała, może im narobić kłopotów.

Musi coś wymyślić, musi!

Ale co?

Następnego ranka rycerz postanowił śledzić Izabelę. Już na samym początku wymknęłaby mu się, gdyż nie poznał jej w stroju służącej. W ostatniej chwili wskazał mu ją giermek. Kryjąc się pomiędzy drzewami, śledzili ją aż do chaty smolarzy. Jednakże kiedy stamtąd wyszła, niemal natychmiast stracili ją z oczu. Szukali jej długo, lecz przepadła jak kamień w wodę.

W południe zgrzany, głodny i zmęczony Enguerrand zarządził powrót do zamku. Był wściekły, że jego, który tyle razy zasadzał się na Saracenów i podchodził lwy z templariuszami, wywiodła w pole zwykła młódka.

Nazajutrz zaczął się przy chacie smolarzy. Bertrama zostawił w zamku. Nie chciał, by giermek był świadkiem jego klęski po raz kolejny, gdyby panna znów zginęła mu w lesie.

Gdy Izabela wyszła z leśnej zagrody, minęła go zaledwie o kilka kroków, jednak nie zauważyła rycerza skrytego pomiędzy korzeniami wielkiego jesionu. Szedł za nią bardzo ostrożnie, starając się nie gubić jej z oczu. Widać było, że dziewczyna dobrze zna drogę i że śpieszy się do celu. Enguerrand nie miał już najmniejszych wątpliwości, że celem tym jest mężczyzna. W duchu przysięgnął mu śmierć.

Nagle Izabela zniknęła w gęstych krzakach. Rycerzowi zajęło trochę czasu, zanim przedarł się przez nie na tyle ostrożnie, żeby nie narobić zbyt wiele hałasu. Po drugiej stronie czekała na niego skalna ściana. Nigdzie ani śladu dziewczyny.

Zaklął siarczyście. Próbował znaleźć jakąś wskazówkę, którądy mogła pójść, ale żadnej nie dostrzegł. Wściekły wrócił do zamku.

- Jutro, moja piękna – obiecywał w myślach. - Jutro wszystko się wyjaśni. I klnę się na Boga, że niedługo zostaniesz panią na Colonges.

Podczas kolacji Izabela była jak zwykle cicha, blada i nieobecna duchem. Zupełnie nie zwracała uwagi na Enguerranda, którego ta jej obojętność rozpałała coraz bardziej. Pragnął złapać ją za ramiona, mocno potrząsnąć i zmusić, by na niego popatrzyła.

Już niedługo – powtarzał sobie w myślach, a jego usta wykrzywiał nieprzyjemny uśmiech.

O świcie czekał na nią u podnóża skał. Widział, jak zakasuje sukienkę, pokazując smukłe nogi, i bez wahania wspina się po wystęпах skalnych, a na wysokości kilku łokci wtapia w skałę.

Enguerrand domyślił się, że musi tam być szczelina lub jaskinia, której wcześniej nie zauważył. Odczekał chwilę, po czym zbadał ścianę. Rzeczywiście, była szczelina, tak wąska, że ledwie się przez nią przecisnął. Na szczęście zaraz się rozszerzała, przechodząc w dosyć wygodną ścieżkę. Ruszył nią najszybciej jak mógł, bojąc się, żeby dziewczyna znów mu gdzieś nie zniknęła. Gdy wspiął się na sam szczyt skał, otworzył się przed nim widok na zieloną dolinę i kamienną wieżę skrytą w głębokim cieniu przeciwległego stoku. Ze swojego miejsca widział, jak Izabela biegnie ścieżką w dół, a jej rozpuszczone włosy lśnią w słońcu jak złoty welon. Gdy dotarła do wieży, ktoś otworzył drzwi, a ona szybko zniknęła w środku.

Rycerz odczekał jakiś czas i podkrał się do budowli. Uderzyło go to, że pomimo pięknego słonecznego dnia okiennice wieży zamknięte były na głucho. Udało mu się jednak znaleźć w nich szparę na tyle szeroką, by móc zobaczyć, co dzieje się wewnątrz. Jego oczom ukazała się rozświetlona pochodniami sala, pośrodku której stała Izabela, tuląc się do wysokiego, szczupłego mężczyzny.

Enguerrand zdusił w ustach przekleństwo. Z wściekłością przyjrzał się rywalowi, obiecując mu w duszy śmierć w męczarniach. Mężczyzna trzymający dziewczynę w ramionach miał bardzo jasną, nienawykłą do słońca skórę, długie czarne włosy związane w ogon i regularne rysy twarzy. Rycerz musiał uczciwie przyznać, że każda dziewczyna mogła się w nim zakochać. Nawet tak piękna, jak Izabela.

Cóż, młoda i głupia, z głową nabitą balladami minstreli – pomyślał. – Nie jej wina, że wpadła w sidła tego mydłaka. Ale to ja jej pokażę, czym jest prawdziwe życie.

Wcale nie przeszkadzało mu to, że najprawdopodobniej Izabela już dawno pożegnała się z dziewictwem. Szczerze mówiąc, ulżyło mu. Nie będzie

musiał obchodzić się z nią jak z jajkiem i powoli uczyć, z czym wiąże się małżeństwo. Nie miał do tego cierpliwości. Wolał, żeby wiedziała, o co chodzi, gdy zaprowadzi ją do małżeńskiej łóżnicy. Znachorka, która czeka w wiosce razem z jego orszakami, poda jej przed ślubem odpowiednie zioła, żeby miał pewność co do przyszłego potomstwa.

Już miał odejść od okiennicy, gdy coś w uśmiechu mężczyzny przykuło jego uwagę.

- No tak, teraz już wszystko jasne! – Enguerrand doznał olśnienia i wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować.

Zamyślony wrócił do zamku.

Na dziedzińcu zobaczył Bertrama.

- Tak, panie? – Giermek, widząc wyraz twarzy swego pana, domyślił się, że coś musiało się wydarzyć.

- Pojedziesz do wioski i każesz naszym ludziom przyjechać jak najszybciej. Ty sam natomiast weźmiesz białą skrzynię i natychmiast wrócisz do mnie.

Bertram zbladł.

- Białą skrzynię, panie? TĘ białą skrzynię?

- A mamy jakąś inną? – spytał Enguerrand ze zniecierpliwieniem.

- Nie, panie. Czy to oznacza, że będziemy mieli do czynienia z istotą żyjącą wbrew Bogu i świętej wierze? Taką, jaką przyzwał na pustyni Al Fazi?

Rycerz wiedział, jak bardzo jego sługa boi się istot nie z tego świata. Jak bardzo przeżył spotkanie z dzinniją wezwaną przez arabskiego maga. Z zadowoleniem skonstatował więc, że mimo wszystko Bertram użył słowa „my”. W tej chwili postanowił, że gdy tylko wrócą do Colonges, Bertram zostanie pasowany na rycerza.

- Nie. To nie taki sam demon – wspaniałomyślnie rozwiął jego wątpliwości.

Ulga odmalowała się na twarzy giermka, choć ten bardzo starał się jej po sobie nie pokazać.

- Słyszałeś, jaki problem miał książę Umberto z Neapolu kilka lat temu? – spytał Enguerrand.

- Tak. – Bertram uśmiechnął się odprężony. – Słyszałem też, jak temu zaradziłeś, panie.

- Więc nie gadaj dłużej, tylko jedź po skrzynię.

Giermek, jak stał, pobiegł do stajni po konia i po chwili kurz na drodze świadczył, że nie żałuje wierzchowca.

Enguerrand tymczasem udał się na poszukiwania pana Filipa. Bez trudu znalazł go w głównej sali zamku, siedzącego przy wielkim kominku i otulonego skórą niedźwiedzia. Gospodarz spał. U jego stóp leżały dwa olbrzymie wilczarze, które na widok wchodzącego rycerza podniosły się i obnażyły kły, chcąc ochronić sen swego pana.

Enguerrand skrzywił się pogardliwie. To on był najsilniejszym drapieżnikiem w tej sali. Spojrzał w oczy każdemu z psów z taką siłą, że zwierzęta wycofały się z podkulonymi ogonami. Gdy podniósł wzrok, natrafił na w pełni przytomne spojrzenie śpiącego jeszcze przed **chwilą** Filipa. Przez uderzenie serca mierzyli się wzrokiem, ale stary rycerz bez wysiłku wytrzymał spojrzenie gościa. Enguerrand uśmiechnął się i z szacunkiem lekko skłonił głowę.

- Nie chciałem cię budzić, panie.

- Już i tak była na mnie pora – oznajmił Filip. Spróbował wstać i grymas bólu wykrzywił jego twarz. Nogi dawały znać o sobie. Zaraz jednak przybrał kamienny wyraz twarzy, nie chcąc obnażać przed Enguerrandem swoich słabości.

Nic jednak nie uszło uwagi przybysza. Odwrócił się w stronę okna i niby mimochodem rzucił przez ramię:

- Na reumatyzm najlepsze jest suche powietrze Jerozolimy.

Znowu te zakamuflowane groźby – pomyślał ze złością Filip. Miał już tego dosyć.

- Dajmy spokój tym gierkom, rycerzu Enguerrandzie – powiedział zniecierpliwiony. – Po co tu przyjechałeś czego ode mnie chcesz?

- Od ciebie niczego, panie Filipie. – Młodszy mężczyzna odwrócił się do niego twarzą. Po jego ustach błąkał się uśmiech. Ich spojrzenia zetknęły się. Wiedzieli, o jaką stawkę toczy się gra, i obydwaj też zdawali sobie sprawę, że rezultatem może być tylko przegrana Filipa. To Enguerrand miał w ręku wszystkie atuty. Stary rycerz nie zamierzał jednak poddać się bez walki. Uniósł dumnie głowę i lodowatym tonem spytał:

- Zatem od kogo?

- Za dwa dni przyjedzie orszak z darami dla twojej córki, a za trzy dni poproszę o jej rękę i wierzę, że mi nie odmówisz. – Tu Enguerrand zawiesił głos.

- A dlaczego miałbym się zgodzić na ślub mojej jedynej córki akurat z tobą? Wielu lepszych od ciebie odjechało z niczym. Izabela ich nie chciała, a ja dałem jej słowo, że nie będę jej zmuszał do małżeństwa wbrew jej woli.

- Cóż, panie Filipie, jeżeli się nie zgodzisz, wyruszysz z posiłkami od miłościwie nam panującego dla króla Baldwina, a ja najadę na twoje ziemie, wezmę twoją córkę nie jak panią, ale jak brankę i gdy mi się znudzi, oddam ją swoim żołnierzom. Twój chłopci natomiast wymrą z głodu pod podatkami, jakie na nich nałożę. Z samego zamku nie zostanie kamień na kamieniu. I gdybyś nawet przeżył wyprawę do Ziemi Świętej, nie będziesz miał już do czego wracać. A wszystkie te nieszczęścia spadną na was za sprawą twojej buty i głupiej obietnicy, którą złożyłaś córce.

- Odwołam się do króla!

- A komu król uwierzy, panie Filipie? – spytał z szyderczym uśmiechem Enguerrand. – Pomniejszemu szlachetce czy ulubionemu krewnemu swojej żony, którego podziwia za męstwo w boju i któremu zlecił zwerbować

ochotników do wyprawy, by wspomóc świętą wiarę w walce z wyznawcami Mahometa?

Filip zacisnął usta i nic nie odpowiedział; wiedział, że z mężczyzną, który stoi naprzeciwko i nieco szyderczo przygląda mu się spod zmrużonych powiek, nie wygra.

- Z drugiej strony oferuję w zamian za rękę Izabeli wspaniałe dary, gwarantuję jej wysoką pozycję na dworze królewskim i to, że będę ją traktował z należyтым szacunkiem. Ty zaś, panie Filipie, dożyjesz swoich ostatnich dni w tym zamku, świadom, że twoje wnuki przejmą schedę po tobie, a żaden sąsiad nie wyciągnie ręki po to, co należy do twojej rodziny. To chyba uczciwy układ? – spytał Enguerrand.

Stary rycerz przeanalizował wszystko, co usłyszał, i doszedł do wniosku, że jeżeli ten wąż w ciele człowieka dotrzyma słowa, to zaproponowany układ wcale nie wygląda tak źle, jak mógłby. Z dwojga złego zamiast Izabeli branki, wolał Izabelę panią, a wierzył głęboko, że gdyby odmówił jej ręki Enguerrandowi, ten spełniłby wszystkie swoje groźby.

- Przysięgnij na mękę Chrystusa, że dotrzymasz danego słowa – zażądał Filip i zdjął ze ściany prosty, drewniany krzyż.

Enguerrand dotknął go prawą dłonią i powtórzył swoje słowa.

- I że nigdy jej nie uderzysz – dodał pan Filip.

- I nigdy jej nie uderzę – przysiągł zaskoczony rycerz. Nigdy nie słyszał, żeby ktoś robił podobne ceregiele, jeżeli chodzi o małżeństwo. Kościół nawet zalecał trzymanie żon silną ręką. Jednakże słowo się rzekło, a on obietnic starał się dotrzymywać. Zazwyczaj.

- No cóż, ja się zgodziłem, ale pozostaje nam jeszcze przekonać Izabelę. A to może nie być już takie proste – westchnął ciężko Filip.

- Więc ten syn plugawej dziewczki i angielskiego żołdaka posunął się do grózb?! – Wysłuchawszy ojca, Izabela poczerwieniała ze złości.

- Zgadza się – skinął głową pan Filip.

- Mnie zamierza wysłać do Jerozolimy, ciebie napaść i zniewolić, a naszych poddanych zamorzyć głodem. Piekło i szatani na tego wszetecznika! A czy jest w stanie zrealizować swoje groźby?

- Sądzę, że jest. Ma poparcie zbrojne i polityczne, o jakim my nie możemy nawet marzyć.

- Do diabła, nie mogę stąd wyjechać! – Kopnęła koszyk z przyborami do haftowania. Łzy płynęły jej po policzkach.

- Wiem, córeczko, że jesteś mi oddana całym sercem, ale obawiam się, że jedynym wyjściem z sytuacji jest twój ślub z Enguerrandem. – Filip rozłożył bezradnie ręce. – Nic nie mogę na to poradzić.

- A gdybym uciekła? – Izabela desperacko usiłowała znaleźć ratunek. – Może wtedy dałby ci spokój.

- Zapomniałaś już o tych wszystkich historiach, które o nim opowiadają? Gdyby nawet tylko w połowie były prawdziwe, to i tak wynikałoby z nich, że z niego diabelnie mściwy bydlak.

W komnacie zapadło gniewne milczenie. Filipowi zrobiło się szkoda córki, która w rezultacie i tak będzie musiała wyjść za de Colonges'a. Nieważne, jak bardzo będzie się pieklić, dla dobra ojca i swoich poddanych i tak ustąpi. Nie wątpił w to ani chwili, gdyż wychował córkę na kobietę, która znała swoje obowiązki i powinności względem ludzi od niej zależnych. Nie zaryzykuje, by z powodu jej uprzedzeń do rycerza Enguerranda niewinni wieśniacy stracili życie.

- Izabelko, moja piękna, a może życie z panem de Colonges nie będzie aż takie złe? – zasugerował, siadając obok zapłakanej dziewczyny i obejmując ją ramieniem. – Jest bogaty, dobrze widziany na dworze królewskim, młody, przystojny i chociaż gorąca głowa, to przecież wspaniały z niego wojownik.

- Zapomniałaś dodać, że jest okrutny, przebiegły i bezwzględny – wtrąciła Izabela, ocierając oczy. Szloch nic tu nie pomoże, trzeba wziąć się w garść.

- Ma jednak jedną olbrzymią zaletę: często nie ma go w domu – uśmiechnął się Filip, całując córkę w czoło. Odetchnął w duchu z ulgą, że najgorsze już za nim. – Przysiągł mi na Święty Krzyż, że jeżeli zgodzisz się zostać jego żoną, będzie traktował cię godnie i z szacunkiem.

- Czy ty myślisz, ojcze, że dla takiego Enguerranda de Colonges wielkim problemem byłoby złamanie przysięgi? – spytała z powątpiewaniem dziewczyna. – Ufundowałby kościół lub klasztor i zaraz odpuszczono by mu krzywoprzysięstwo.

- Cóż... – wzruszył ramionami ojciec. – Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wierzyć, że nie złamię słowa danego akurat nam.

Izabela nie mogła pozbyć się paskudnego uczucia, że została potraktowana jak narzędzie, jak towar. Zapłacono nią za spokój i względny dobrobyt. I to komu? Awanturnikowi z Colonges – mężczyźnie, którym zawsze gardziła i którego trochę się bała. Te wszystkie epickie opowieści o nim budziły w niej niesmak. A teraz ma być klaczą rozplodową właśnie dla niego. Bo nie ma się co oszukiwać, że w grę wchodzi jakiekolwiek uczucie z jego strony. No, może z wyjątkiem pożądania. Czy gdy się już nią nasyci, pozwoli jej odejść? Lepiej nie łudzić się taką nadzieją. Będzie, co ma być.

Następnego ranka Izabela wymknęła się z zamku z koszykiem pełnym wiktuałów. Enguerrand widział jej białą chustkę, to znikającą, to pojawiającą się na ścieżce prowadzącej do lasu.

- Idź się pożegnać, moja piękna – szepnął. – To twoja ostatnia wyprawa.

Poprzedniego wieczoru nie widział jej na wieczerzy. Zapytał o nią swojego przyszłego teścia, ale ten machnął ręką.

- Ot, niewiasty. Kto je tam zrozumie? – i po tej enigmatycznej wypowiedzi zaczął wypytywać Enguerranda o dworskie nowinki.

Ten jednak nie dał się zbyć.

- Jaka jest odpowiedź Izabeli? – spytał Filipa.

Stary westchnął bezradnie.

- Powiedziała, że jej decyzję poznasz, gdy oficjalnie poprosisz ją o rękę.
Nie wcześniej.

Enguerrand zdławił przekleństwo. Nie miał ochoty bawić się w podchody, ale z drugiej strony, co szkodziło mu poczekać jeszcze dwa dni? A potem szybki ślub albo równie szybki napad – to będzie zależało od dziewczyny - i wreszcie będzie ją miał. Obiecał sobie, że podczas nocy poślubnej pozostanie głuchy na jej błagania o litość.

Pod wieczór do zamku przybył Bertram. Był okryty kurzem, zmęczony, ale z dumą wręczył swojemu panu duży pakunek owinięty w zgrzebne płótno.

- Orszak już wyruszył. Dotrą jutro.

- Dobrze się spisałeś, Bertramie. Odpocznij. Jutro masz być w pełni sprawny.

- Tak, panie. – Giermek skłonił się i zniknął, zabierając konia do stajni.

Enguerrand z czułością spojrział na ciężką paczkę, którą trzymał przed sobą. Nikt oprócz niego i Bertrama nie miał prawa jej dotykać. Ruszył do swojej komnaty. Po drodze natknął się na pana Filipa.

- Proszę cię, aby moja narzeczona jutro nie opuszczała zamku – zażądał głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Filip miał już zaoponować, ale widząc spojrzenie swojego gościa, powiedział tylko:

- Dobrze.

W komnacie Enguerrand delikatnie postawił pakunek na dębowym stole z kiepsko oheblowanych desek. Odwinął płótno i jego oczom ukazała się płaska drewniana skrzynia pomalowana na biało. Na jej wierzchu wyryty był prosty krzyż.

Rycerz ukląkł i pograżył się w modlitwie. Gdy skończył, wstał i otworzył wieko. W środku zobaczył jakę ze śnieżnobiałego płótna, która miała na przedzie wyhaftowany złotą nicią krzyż. Do sporządzenia tych nici użyto

skrawka materiału z chusty świętej Weroniki. Pod jaką znajdował się miecz o nieskazitelnym ostrzu i złotym jelcu. Wykuty był przez najlepszych mieczników Jerozolimy, a hartowano go w oleju, do którego dodano kilka kropel świętych olejów i w wodzie z błogosławionego źródła bijącego obok Grobu Pańskiego. Na samym dnie leżała biała tarcza z wymalowanym złotym krzyżem, pobłogosławiona przez samego ojca świętego, a obok niej prosty, srebrny pręt.

Enguerrand uśmiechnął się, patrząc na te wszystkie wspaniałości.

- O, tak – pomyślał. – Teraz mogę się z nim zmierzyć.

Schodził ścieżką w głąb doliny. W promieniach słońca lśnił bielą i złotem. Kilka kroków za nim podążał Bertram. Zbliżywszy się do wieży, zauważyli postać u podnóża skał, stojącą w najgłębszym cieniu, którego nigdy nie rozświetlają promienie słoneczne. Mężczyzna nosił czarną zbroję kolczą, czarny hełm i smolistą jakę bez żadnego herbu. Klinga miecza wyglądała jak utkana z mroku. Podobnie tarcza.

Enguerrand zatrzymał się kilkanaście kroków od Czarnego Rycerza. Usłyszał łagodny głos, od którego przeszły mu ciarki po plecach.

- Czekałem na ciebie.

Główna sala zamku ubrana była kwietnymi wieńcami i girlandami. Na dwóch rzeźbionych krzesłach siedzieli pan Filip i Piękna Izabela. Przed nimi stały dary zaręczynowe, które w imieniu pana Enguerranda ofiarował pannie jego kuzyn, pan de Brec. Wygłaszał właśnie peany na cześć przyszłego pana młodego, gdy w drzwiach stanął sam de Colonges. De Brec umilkł, gdy rycerz podszedł do swojej wybranki i ukląkł przed nią. Jego policzek przecinała świeża szrama, ale błękitne oczy lśniły tryumfem.

- Piękna Izabelo – zaczął. – Mam dla ciebie dar, który zwolni cię z obowiązku i pozwoli z lżejszym sercem opuścić swoich poddanych. Czy wyświadczysz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Z worka, który trzymał Bertram, wyciągnął głowę mężczyzny i trzymając za czarne włosy, skierował ją twarzą w stronę dziewczyny i jej ojca.

Pan Filip skoczył na równe nogi, sądząc, że gość chce go obrazić, przynosząc czyjąś głowę w prezencie, lecz opadł na miejsce, gdy zobaczył kły wystające z ust zabitego.

- Święci Pańscy... – wyszeptał i szybko się przeżegnał.

Enguerrand nie spuszczał wzroku z Izabeli. Z podziwem zauważył, że na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Po raz pierwszy dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy. Poczuł się przez chwilę, jakby rozbierała do naga jego duszę, sama nie odkrywając ani kawałka swojej.

- Przyjmuję twój dar, rycerzu – powiedziała głosem silnym i czystym. – Zgadzam się zostać twoją żoną, panie Enguerrandzie.

W sali, w której przed chwilą panowała martwa cisza, a ludzie zamarli w przerażeniu na widok głowy, wybuchły głośnie wiwaty na cześć narzeczonych. Ludzie z zamku świętowali przy tym wybawienie ich od potwora, z którego powodu żyli w ciągłym zagrożeniu.

Zaraz wniesiono do sali stoły, jadło i wtocono beczki z winem. Izabela jednak, wymawiając się zmęczeniem wywołanym przeżyciami tego dnia, wymknęła się do swojej komnaty. W rękach wciąż trzymając głowę wampira.

Enguerrand odprowadzał ją wzrokiem.

Tak, tak – myślał. – Idź go oplakiwać. Teraz już nikt nie stanie między nami. Jesteś już tylko moja.

Wziął garniec wina i przyłączył się do świętowania swoich zaręczyn.

Izabela zamknęła się w swojej komnacie. Nie płakała, chociaż nikt nawet nie podejrzewał, jak wiele kosztowało ją zachowanie spokoju, gdy zobaczyła głowę kochanka. Pod długimi rękawami sukni mogła tylko zaciskać pięści z bezsilnej rozpacz.

Teraz jednak wiedziała, co ma robić. Nucać pod nosem dziwną melodię, obmyła głowę z brudu i zaschniętej krwi i zawięła w chustę z delikatnej tkaniny. Wciąż nucać, przebrała się w męskie ubranie, które miała schowane w skrzyni, a włosy ukryła pod głęboko naciągniętym kapturem.

Na dziedzińcu zamku zapalono ogniska i tańczono przy nich i śpiewano, obficie racząc się piwem. W tym zamieszaniu Izabela bez trudu wymknęła się za mury, ale pochodnię na wszelki wypadek zapaliła dopiero w lesie. Biegając do wieży, nie przestawała nucić, jednakże teraz w melodii zaczęły pojawiać się wyraźne pojedyncze słowa.

Ciało znalazła obok wieży. Wisiało przyszpilone srebrnym prętem do skały. Izabelę ogarnęło przerażenie - jak ona ten pręt wyciągnie? Nie ma przecież tyle siły. Zniosła głowę do wieży, ale po chwili wróciła i chwyciła za pręt. Po krótkiej chwili wysiłku poddała się jednak. To nie siła, lecz inteligencja była jej atutem, zastanowiła się więc i wkrótce znalazła rozwiązanie. Złapała ciało i przeciągnęła je tak, że pręt wyszedł plecami. Upadła przygnieciona bezwładnym korpusem, zaraz jednak wstała i zaciągnęła ciało do wieży. Znow zaczęła śpiewać. Miała nadzieję, że zerwana nić pieśni nie odpłynęła daleko i uda jej się odnaleźć ją i związać więzami mocy. Odetchnęła z ulgą, gdy bez trudu odnalazła nić. Teraz pieśń nabierała siły, a słowa i dźwięki znajdowały swoje właściwe miejsca.

Izabela ułożyła ciało wampira na kamiennym stole. Do ziejącej rany przytknęła oddzieloną głowę. Podwinęła rękaw tuniki i w nikłym świetle świecy odnalazła na pokrytym bliznami przedramieniu skrawek ciała, który można jeszcze było naciąć. Błysnęło ostrze noża. Z głębokiej rany zaczęła płynąć krew. Prosto na złączenie głowy i szyi. Dziewczyna wzmocniła swój śpiew, a powietrze zawibrowało mocą.

Rana ukochanego zaczęła się zasklepiać. Poczowała olbrzymią ulgę, bo wcale nie była pewna czy uda jej się przywrócić go do życia. Izabela przesunęła ramię nad usta wampira. Z zadowoleniem spostrzegła lekkie drgnienie warg,

które zareagowały na krople krwi. Przytknęła ranę do ust wampira i poczuła, jak zaczyna pić. Wiedziała, że będzie potrzebował wiele krwi. Dużo więcej niż zwykle. Może zbyt wiele...

Zakręciło się jej w głowie, oczy zaszyły mgłą. Osunęła się na podłogę nieprzytomna.

Otworzyła oczy. Siedziała na podłodze, oparta o wampira i otoczona jego ramionami. Pocałowała go w czubek głowy.

- Już się bałem, że się nie obudzisz. Wiesz, że nie powinnaś tego robić – skarcił ją łagodnie. – Nie powinnaś oddawać mi więcej krwi, niż możesz.

- Potrzebowałeś... – szepnęła przez ściśnięte gardło. Była szczęśliwa, bo był przy niej żywy, albo prawie żywy, chociaż tylko cudem udało jej się go uratować. Teraz wreszcie mogła płakać i płakała, aż wypłakała wszystkie łzy, które nazbierały się tego wieczora. Wampir tulił ją mocno i szeptał czułe słowa, aż uspokoiła się zupełnie.

- Nie zmienisz zdania? – spytał.

- Nie mogę. To bardzo niebezpieczny człowiek, zawsze dostaje to, czego pragnie. Dla niego nie liczą się metody, tylko efekt.

- Tak, zauważyłem wczoraj – mruknął z przekąsem wampir. – Nie patyczkował się.

- Wiedziałam, że jest dobry, ale nie sądziłam, że cię pokona.

- Wiesz, było ich dwóch – tłumaczył się zawstydzony. – I stanowią naprawdę zgrany zespół. O ich broni nawet nie chcę wspominać. Wszykowali się, jakby szli na smoka, a nie na poetę. Ten cały rycerzyk musiał już wcześniej mieć do czynienia z kimś mojego gatunku, bo doskonale wiedział, gdzie uderzać.

- Mój ty biedaku – mruknęła Izabela, całując jego blade usta. – Przecież ja nie mam do ciebie pretensji. Ale rozumiesz, dlaczego muszę z nim odejść? Nie

chę, żeby znów cię zabił, bo może mnie nie być w pobliżu, żeby postawić cię na nogi.

Zapadło milczenie.

- Zdajesz sobie sprawę, że znów będę musiał polować? – spytał.

- Tak i nie zamierzam ci zabraniać. Wystarczająco poświęcam się dla ojca i jego poddanych, wychodząc za awanturника z Colonges, żeby jeszcze kwestionować twoje prawo do pożywienia. Jesteś dla mnie ważniejszy niż oni wszyscy razem wzięci, łącznie z tatusiem, który sprzedał mnie za spokój i wygodę.

- Wytrzymasz w tym Colonges?

- Teraz, dzięki prezentowi od ciebie jest to możliwe. – Pogładziła zawieszony na szyi krzyż z rubinowym oczkiem. Na jej serce spłynął spokój i zobojętnienie.

Pocałowała wampira ostatni raz i skierowała się do drzwi.

Odeszła w bladość świtu, nie oglądając się za siebie.

Zaślubiny odbyły się dwa tygodnie po zaręczynach. Enguerrand szybko wywiózł swoją młodą żonę do Colonges. Tak jak obiecał traktował ją dobrze, a ona nigdy nie powiedziała mu złego słowa. Była dobrą żoną i świetnie zarządzała jego włościami. Dała mu dwóch zdrowych i pięknych synów. Miał nadzieję, że może dzięki dzieciom otworzy przed nim swoje serce, ale pomylił się. Między nimi zawsze stał cień czarnowłosego wampira. Wiedział o tym i doprowadzało go to do szału. Zwłaszcza że bardzo szybko pokochał swoją żonę. Skrzętnie starał się to ukryć, nawet przed sobą, bo jej obojętność raniła go głębiej niż strzały wrogów.

Wreszcie, gdy nie mógł już dłużej znieść obojętnej uprzejmości żony, wyjechał do Hiszpanii, by tam walczyć w obronie jedynej słusznej wiary. Rzucał się w wir najzacieklejszej walki, aby chociaż na chwilę zapomnieć o niebieskich oczach, które nigdy nie spojrzały na niego z uczuciem – ani z

miłością, ani z nienawiścią. Czasami miał wrażenie, że od tego oszaleje. Nie pomagały inne dziewczki, bo biorąc je, wciąż widział przed sobą piękną i wypraną z emocji twarz swojej żony. Po czterech latach wrócił do domu otoczony chwałą niezwykłego i z przydomkiem Szaleniec. Opowiadano legendy o jego wyczynach na polach bitew, ale tylko ci, którzy znali go bliżej, wiedzieli, że spowodowała je choroba duszy. Próbowano go leczyć, egzorcyzmować, nic jednak nie pomogło.

Enguerrand jechał do Colonges z nadzieją i z lękiem. Modlił się, by Izabela za nim tęskniła, i bał się, że mogła nie tęsknić.

Na miejscu okazało się, że pani de Colonges nie ma na zamku. Kilka miesięcy wcześniej wyjechała w odwiedzinach do ojca, czego nie robiła od dnia ślubu, i do tej pory nie wróciła. Dzieci zostawiła w Colonges pod opieką matki Enguerranda.

Rycerz, dowiedziawszy się o tym, zmienił tylko konia i ruszył do siedziby teścia. Zastał pana Filipa pogrążonego w smutku. Dowiedział się od niego, że pewnego dnia Izabela wzięła koszyk z jedzeniem i poszła do wsi. Nie dotarła jednak do niej i wszelki śluch po niej zaginął. Na nic zdały się poszukiwania. Enguerrandowi nie trzeba było nic więcej mówić. Pobiegnął znaną sobie drogą przez las, przez skały, przez dolinę, ale w wieży nie zastał nikogo. Tylko na pokrytym grubą warstwą kurzu kamiennym ni to stole, ni to ołtarzu, leżał ślubny pierścień Izabeli i misterny złoty krzyż z rubinem, który zawsze nosiła na szyi.

Zapłakał świadom, że stracił Izabelę na zawsze. Rozpacz rozdzierała mu serce na kawałki. Nie miał po co żyć. Założył na szyję krzyż Izabeli i położył się na stole, czekając na śmierć. Gładząc z czułością rubin, który przez tyle lat dotykał skóry jego ukochanej żony, zmęczony w końcu zasnął.

Obudziła go mysz, która przebiegła mu po nodze. Usiadł i przetarł twarz. Rozejrzył się dokoła i przez chwilę usiłował sobie przypomnieć, co tu robi. A tak, żona od niego odeszła. Może to i lepiej? Nigdy go naprawdę nie kochała. Najważniejsze, że zostawiła mu synów. Boże! Jak on mógł gnać taki kawał

drogi tylko po to, żeby przekonać się, że nigdy już nie zobaczy Izabeli? Przecież był tego niemal pewien, gdy tylko usłyszał wiadomość. Głupiec!

Nie było go cztery lata i wiele rzeczy uległo zmianom. Trzeba koniecznie sprawdzić, jak się mają sprawy we włościach, i zacząć przyuczać chłopców do miecza. Tyle rzeczy do zrobienia...

Ruszył w drogę powrotną ze spokojem w sercu, jakiego nie zaznał od wielu lat.

A rubin lśnił w słońcu...